Magiczny Kraków

Kryminalna kronika Krakowa. Strzał na ul. Floriańskiej

2026-07-17

Wczesną jesienią 1585 roku przy ul. Floriańskiej padł strzał, który zakończył życie Heleny Straszowej i wstrząsnął całym Krakowem. Proces jej zabójcy, szlachcica Jana Morawickiego, stał się jedną z najgłośniejszych spraw kryminalnych XVI-wiecznego miasta oraz symbolem walki mieszczan o równość wobec prawa.

Pod koniec września 1585 roku na ul. Floriańskiej panował zwyczajny ruch. Przez jedną z najważniejszych arterii Krakowa przechodzili kupcy i podróżni zmierzający ku Rynkowi. Działały warsztaty rzemieślnicze, karczmy i zajazdy. Jeden z nich, przy ul. Floriańskiej 28 prowadził Walenty Strasz – mieszczanin, który utrzymywał rodzinę z prowadzenia wyszynku, a w pracy pomagała mu żona Helena, spodziewająca się wówczas kolejnego dziecka.

I właśnie przed ten zajazd zajechał koło południa Jan Morawicki wraz ze świtą. Był dobrze znanym w Krakowie awanturnikiem. Pochodził ze starego szlacheckiego rodu osiadłego w Morawicy pod Krakowem. W herbarzach wspominano jego przodków jako ludzi zasłużonych dla Rzeczypospolitej, walczących w wyprawach moskiewskich i gdańskich. Sam Jan również służył w wojsku Stefana Batorego i cieszył się opinią odważnego żołnierza. Jednocześnie w Krakowie miał już ugruntowaną reputację człowieka porywczego, skłonnego do gwałtownych konfliktów i dość agresywnego. Właśnie dlatego, gdy zjawił się przed zajazdem Strasza wraz ze swoją świtą, właściciel polecił zamknąć drzwi. Obawiał się kolejnej awantury.

Morawicki nie próbował rozmawiać, negocjować ani tłumaczyć. Sięgnął po rusznicę. A była to broń, której załadowanie wymagało czasu i wprawy. Trzeba było wsypać odpowiednią ilość prochu, umieścić kulę, dobić ładunek i przygotować mechanizm odpalający. Nie był to więc odruch wykonywany w jednej chwili. Morawicki spokojnie załadował broń i skierował ją w stronę budynku. Oddał strzał. Kula trafiła Helenę Straszową stojącą przy oknie. Kobieta osunęła się na ziemię. Choć natychmiast ruszono jej na pomoc, obrażenia okazały się śmiertelne.

W jednej chwili zwykła uliczna awantura zamieniła się w zabójstwo

Wiadomość o zabójstwie rozeszła się błyskawicznie, też dlatego, że nie zginął uczestnik bójki ani uzbrojony przeciwnik. Ofiarą padła kobieta zajmująca się domem i gospodą, która znalazła się na linii strzału oddanego podczas awantury.

Ludzie wybiegali z domów i warsztatów, próbując zatrzymać uciekającego szlachcica. Rozpoczął się pościg przez zatłoczone ulice Krakowa. Podczas ucieczki Morawicki zgubił rusznicę. Broń odnaleziono później i stała się jednym z najważniejszych dowodów w sprawie.

Morawickiemu udało się zbiec. Przez pewien czas ukrywał się na Stradomiu. Liczył zapewne, że po pierwszym wybuchu gniewu mieszkańców zdoła przedostać się do rodzinnej Morawicy, gdzie łatwiej byłoby mu szukać ochrony. Nie docenił jednak determinacji owdowiałego męża i krakowskich władz.

Jeszcze tego samego dnia Walenty Strasz złożył oficjalną skargę przed radą miejską. Opisywał nie tylko śmierć żony, lecz także wcześniejszy napad na swój dom. Żądał ukarania sprawcy.

Sprawa stała się wielkim wyzwaniem i próbą sił między miejskim wymiarem sprawiedliwości a uprzywilejowanym stanem szlacheckim. W Rzeczypospolitej końca XVI wieku oznaczało to natychmiastowy konflikt kompetencyjny. Rajcy krakowscy byli przekonani, że skoro zabójstwo popełniono na ul. Floriańskiej, przed licznymi świadkami i na szkodę mieszczańskiej rodziny, to proces powinien odbyć się przed sądem miejskim. Jednak głoszono też pogląd, że Morawicki – jako szlachcic – powinien odpowiadać przed sądem szlacheckim.

Dla władz Krakowa nie była to wyłącznie kwestia formalna. Gdyby zrezygnowano z prowadzenia procesu, oznaczałoby to przyznanie, że miasto nie jest w stanie osądzić przedstawiciela uprzywilejowanego stanu, nawet jeśli zbrodnia została popełniona w samym jego centrum. Dopiero interwencja przedstawicieli starostwa umożliwiła zatrzymanie Morawickiego i osadzenie go w więzieniu ratuszowym.

Proces

Morawicki od początku próbował uniknąć odpowiedzialności za morderstwo. Twierdził, że nie zamierzał nikogo zabić, a śmiertelny strzał był nieszczęśliwym wypadkiem. Według tej wersji wydarzeń miał jedynie oddać strzał w drzwi zajazdu. Jednak użyta broń i sposób jej działania wykluczał tę wersję.

Również świadkowie opowiadali zupełnie inną historię. Zeznania osób obecnych na miejscu wskazywały, że broń została skierowana w stronę okna, w którym znajdowała się Helena. Jeden ze świadków utrzymywał, że widział moment oddania strzału i nie miał wątpliwości, kto pociągnął za spust. To właśnie te relacje zaczęły burzyć linię obrony opartą na przypadku.

Adwokaci Morawickiego nie składali broni. Najpierw domagali się odroczenia rozprawy, argumentując, że nie zdążyli przygotować obrony. Następnie próbowali podważyć wiarygodność świadków. W pewnym momencie wysunięto nawet tezę, że śmiertelny strzał mógł oddać jeden ze sług Morawickiego, a nie sam oskarżony. Była to jednak wersja niespójna z wcześniejszymi wyjaśnieniami i nie przekonała sądu.

Proces zaczął się przeciągać. Poważnym problemem okazał się spór między władzami miejskimi a urzędem grodzkim o sposób prowadzenia postępowania. Pojawiały się wątpliwości, czy zgromadzono wystarczającą liczbę świadków oraz jakie przepisy należy zastosować wobec szlachcica oskarżonego o zabójstwo mieszczki.

W rezultacie akta sprawy wysłano do Warszawy z prośbą o stanowisko króla Stefana Batorego. Monarcha nie rozstrzygał winy osobiście, choć na to bardzo liczył Morawicki, ale jego odpowiedzi wyznaczały kierunek dalszego postępowania. Polecił przeprowadzić dodatkowe dowody i nie wydawać wyroku bez jednoznacznego potwierdzenia zarzutów. W praktyce oznaczało to kolejne tygodnie oczekiwania oraz następne przesłuchania.

Przed sądem ponownie stanął Walenty Strasz. Pod przysięgą oświadczył, że jego żona zginęła od

strzału oddanego przez Morawickiego. Następnie przesłuchano kolejnych świadków, którzy zgodnie wskazywali oskarżonego jako sprawcę. Ich zeznania uzupełniały się nawzajem i tworzyły spójny obraz wydarzeń. Po kilku miesiącach sporów, odwołań i proceduralnych przepychanek sąd nie miał już większych wątpliwości. Zapadł wyrok śmierci przez ścięcie.

Egzekucję wykonano tydzień po wyroku, z początkiem 1586 roku. Księgi miejskie odnotowały wydatek na materiał użyty podczas egzekucji – „gdańską kołderkę”, co oznacza wyjątkowe potraktowanie szlachcica Morawickiego, gdyż – jak podaje Stanisław Waltoś w „Pitavalu Krakowskim” – dla zwykłych przestępców tylko słomę rozścielano wokół pnia.

Sprawę zapamiętano jako sukces krakowskiego samorządu oraz dowód, że nawet człowiek należący do uprzywilejowanego stanu nie mógł liczyć na bezkarność. Historycy prawa zwracają uwagę, że był to jeden z ostatnich procesów tej epoki, w których pochodzenie społeczne nie przesądziło o wymiarze kary. W następnych dziesięcioleciach równowaga między mieszczaństwem a szlachtą coraz wyraźniej przechylała się na korzyść tej drugiej. Szlachta nie tylko nadal zachowała swoje przywileje, ale w następnych dziesięcioleciach jej pozycja jeszcze się umocniła.